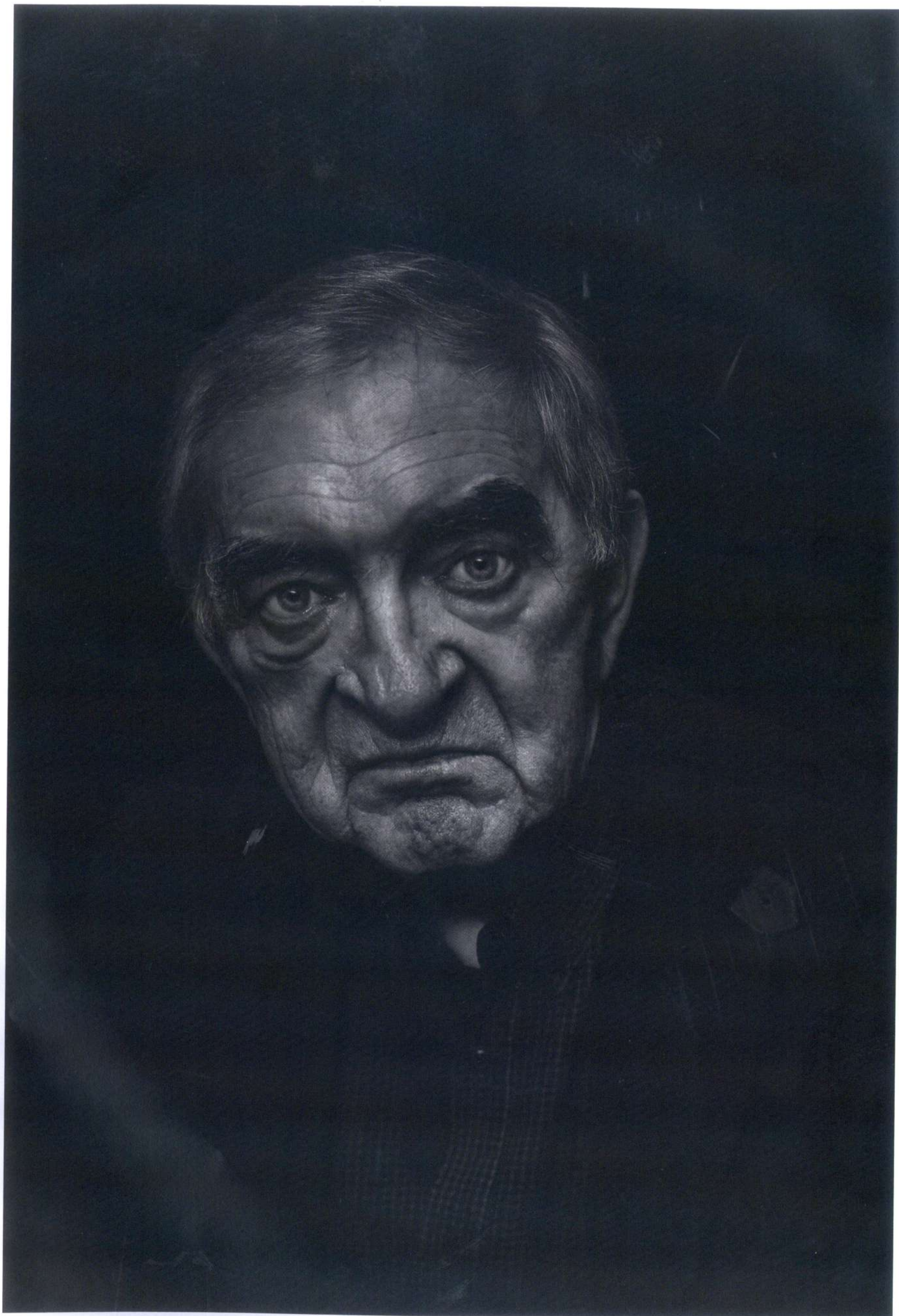


AKTORSKIE TWARZE KRAKOWA



Jazz i zen. Jerzy Trela

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcia: Alicja Rzepa

Strach przed napisaniem pierwszego zdania. Strach, bo cokolwiek napisze się o Jerzym Treli i tak będzie za mało. Cokolwiek się napisze, będzie temu towarzyszyło poczucie, że dla samego Jerzego Treli to akurat za dużo. Już widzę, jak aktor czyta teraz te wykrzykniki o sobie, jak się wstydzi, stara się umniejszać zachwyty, zmienić temat. Tym razem zmian nie będzie. On jest tematem. I wszystko się zgadza: sceniczny wigor Treli i ludzki cień. Wigor w cieniu. Aktor stoi w cieniu, tam jest widoczny. Tak wyrazisty, że przesłania wszystko inne, i centrum, i tło.

Nie uda się opisać całej drogi teatralnej (filmowej, telewizyjnej) Jerzego Treli. Nawet nie próbuję. O tym trzeba by książkę, kilka książek, nie jeden artykuł. I dlatego, wzorem innych portretów w tym cyklu, zamiast wycieczek w obiektywizm, szukam sedna w subiektywizmie.

Swinarski, wiadomo, ale ja nie widziałem na żywo ani jednego spektaklu Konrada Swinarskiego. Przekleństwo względnej młodości. Mój Trela to Jarocki, Grzegorzewski, Jasiński, kilku innych. Mój Trela to na przykład Joachim von Pasenov w *Lunatykach* (Hugenu, czyli Rzeczowość) Hermanna Brocha w reżyserii Lupy. Tak, wiem, rola wcale może nie najważniejsza ani najbardziej pamiętana, a jednak, mam wrażenie, wyjątkowo istotna dla zrozumienia fenomenu artysty. Trela-Pasenov – chmurny i cichy, ale w tym milczeniu, milczeniu permanentnym, potężny i wyzywający. Charyzma w zmęczeniu. W Pasenovie przeglądały się, tak jak w wielu innych kreacjach Jerzego Treli, skrajne aktorskie kontrplany, gorączka ze spektakli Swinarskiego i abstrakcje z teatralnych płócien Grzegorzewskiego.

Jazz i zen, to właśnie aktorstwo Treli. Lekko przygarbiony mężczyzna w sile wieku wychodzi na scenę. Mówi. Jest. I niejako przy okazji jazz zawłaszcza zen. Nie ma smutnego pana Jurka, jest Mefisto, Lear, Pasenov.

*

Jerzy Trela kojarzy się z milczeniem. Lubię jak milczy, a milczy często. Jerzy Trela

ma poczucie humoru, jest powściągliwy i dowcipny, ale często milczy. Wyłącza się wtedy. Jakby pracował w innej przestrzeni. I w tym milczeniu, prywatnym milczeniu, milczeniu niescenicznym, dopiero jest wielki. To jest magia. Pochylony nad serwetką, nad blatem, nas sobą. Milczy.

Dzisiaj jednak rozmawiamy.

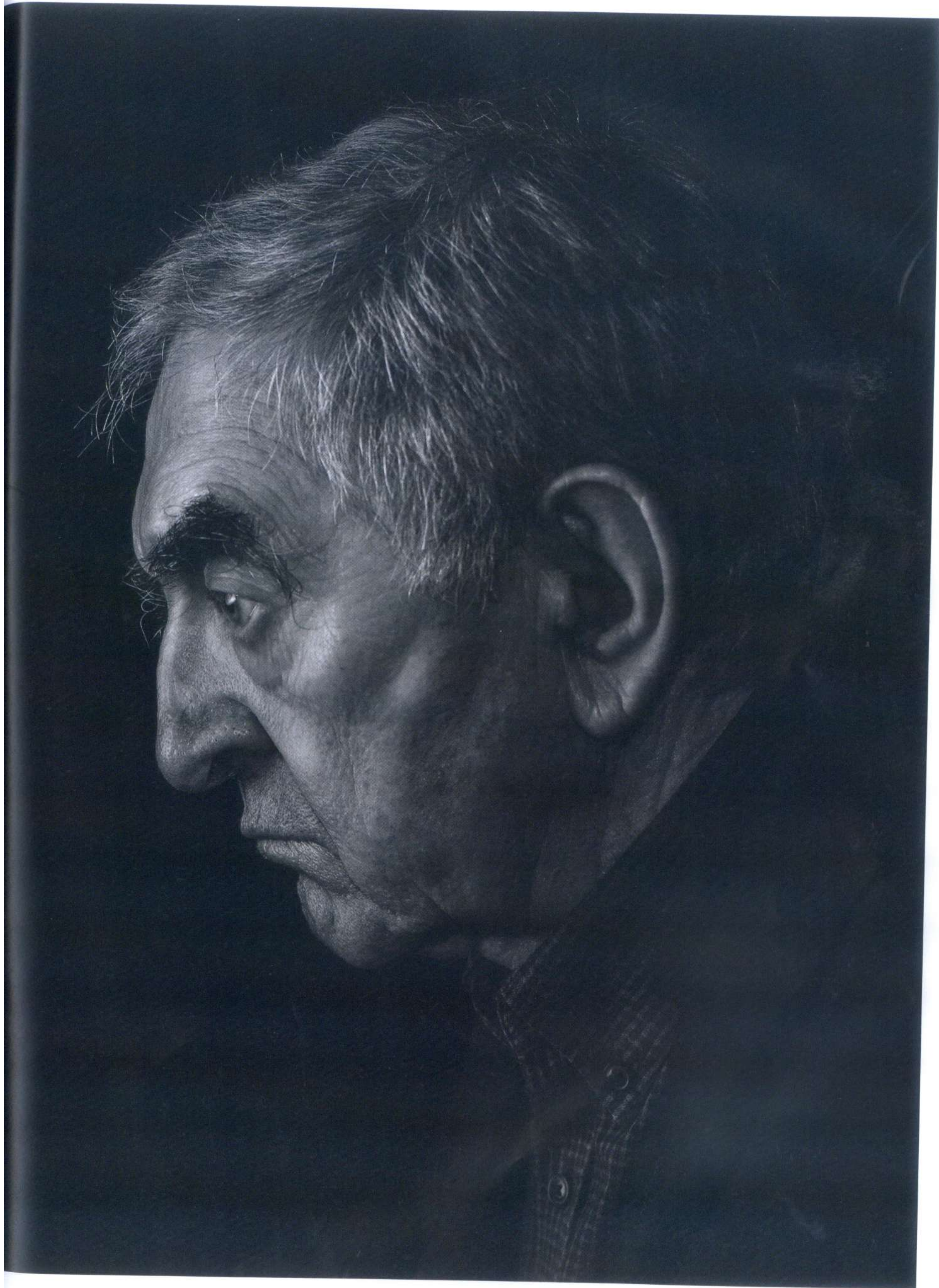
Jerzy Trela: Jestem z natury sceptykiem. Optymizm daje mi scena. Nawet w czasach tak ciężkich, jak obecnie, ja, panie Łukaszu, uciekam do życia na scenę. Tam się chronię. Tam spotykam z ludźmi. To wielkie szczęście być dzisiaj z ludźmi.

Nie zadaję sobie pytań, czym jest dla aktora starość. Chcę być potrzebny i czuję, że jestem nadal. Występuję w STU, gram w Starym Teatrze w *Trąbce do słuchania*, nowym spektaklu Agnieszki Glińskiej. To daje mi napęd. To pozwala żyć.

Łukasz Maciejewski: Pochodzi pan z kolejarskiej rodziny. Pana ojciec był maszynistą. Zginął przy pełnieniu obowiązków, kiedy miał pan zaledwie dziewięć lat. Domyślałem się, że w rodzinie wróżyono panu karierę kolejarza.

Być może za względu na tragiczne wspomnienie, jakim była śmierć ojca, nigdy nie chciałem pracować na kolei. Zbuntowałem się. Ciągnęło mnie w stronę teatru, sztuki. Właściwie uciekłem z liceum, z Wrocławia, chciałem zdawać do liceum plastycznego. Mama miała o to pretensje. Liceum o takim profilu wydawało się jej czymś mało poważnym. Chociaż sama miała inklinacje





artystyczne, w młodości występowała w teatrze amatorskim, wołała, żebym zgodnie z rodzinną tradycją pracował na kolei.

Potem oczywiście zaakceptowała Pański wybór.

Nie do końca. Informowałem mamę o kolejnych premierach, ale nie sprawiała wrażenia usatysfakcjonowanej. Uważała, że to nie jest solidny zawód. Martwiła się, co ludzie powiedzą. Kiedy na początku mojej drogi zawodowej przyjechałem do rodzinnych Leńczy, żeby poinformować mamę o nagrodzie na festiwalu w Erlangen za *Pamiętnik wariata* Gogola w STU, gdzie grałem Poprzeszczyna, mama pokiwała tylko głową i powiedziała: „No tak, wszystko jasne – pamiętnik wariata...”.

Do końca była sceptyczna, a przynajmniej sprawiała takie wrażenie, co – jak się w końcu okazało – nie było prawdą. Po odejściu mamy, znalazłem w domu wielki, stary neseser. Jeszcze sprzed wojny. Co tam może być? – pomyślałem. Okazało się, że przez lata skrupulatnie zbierała recenzje, wywiady, wycinki na mój temat. To była imponująca, wzruszająca kolekcja. Konsekwentnie udawała obojętność, bo taki miała charakter. Ale w głębi serca musiała być dumna. Dowiedziałem się o tym dopiero po jej śmierci. Za późno.

Nie zostałem kolejjarzem ani lekarzem. Nie żałuję. Może to zabrzmiało naiwnie, ale dla mnie teatr był jedynym wyborem. Jeszcze w liceum za Wyspiańskim przejąłem zdanie, że teatr jest „świątynią sztuki”. Tak już zostało. On to pisał sarkastycznie, z ironią, ja potraktowałem myśl Wyspiańskiego poważnie. W ten sposób traktuję to do dzisiaj. Teatr jest drogowskazem. Czasami jest mi smutno, że w tak niewielkim stopniu współczesny teatr nawiązuje do tego, co było kiedyś, ale zaraz potem przypominam sobie, że chodzi o zwyczajny przemarsz pokoleń.

Mnie udało się grać u największych: Swinarskiego, Grzegorzewskiego, Jarockiego, u Lupy, Jasińskiego, u Wajdy. To były zawsze szczęśliwe spotkania, chociaż czasami do celu dochodziło się powoli. Pamiętam wielki wysiłek, jakim było dla nas zmaganie z *Wyzwoleniem* Wyspiańskiego. Nie szło. Swinarski bardzo się tym przejmował. Na jedną z prób zaprosił profesora

Kazimierza Wykę. Jego ocena była dla Konrada dotkliwa. Wyka powiedział: „A może to gniot?”. Swinarski był takim reżyserem i człowiekiem, że jego to nie zniechęciło, ale zmobilizowało. Przerwał próby na cztery tygodnie, zaczęliśmy z nowym impetem, pracowaliśmy bez wytchnienia. Przed premierą Konrad ponownie zaprosił profesora. Usłyszał: „Miał pan rację. To nie jest gniot”.

*

Jerzy Trela zagrał w ponad stu filmach i spektaklach Teatru Telewizji, ale jego kariera telewizyjna i filmowa jest nieporównywalna z dokonaniem teatralnymi.

Jerzy Trela: Niektóre role filmowe były dla mnie ważne. Na przykład postać kierownika w *Spokoju* Kieślowskiego. W *Karate po polsku* Wójcika też miałem ciekawą postać do zagrania czy w *Kobiecie samotnej* Agnieszki Holland. Z sentymentem wspominam udział w filmie, od którego właściwie wszystko się zaczęło, myślę o *Kolumbach* Janusza Morgensterna. Dużą radość dają mi spotkania z Arturem „Baronem” Więckiem i „anielska” seria z Krzysiem Globiszem. Nie mogę doczekać się premiery *Prawdziwego życia aniołów*. Znowu się spotkaliśmy.

Trela wielokrotnie grał w telewizji u Kazimierza Kutza. Do historii tego gatunku przeszły jego kreacje tytułowego Stalina, Gurewicza w *Nocy Walpurgii* czy Komentanta w *Do piachu*. „Prawdziwy przyjaciel. Świetny artysta i prawy człowiek” – pisał Kazimierz Kutz o Jerzym Treli w tomie *Klasy i ścinki*.

Jerzy Trela: W 1975 roku zagrałem u Kacza w filmie *Znikąd donikąd*, wcześniej był jeszcze epizod w *Soli ziemi czarnej*, potem na wiele lat nasz kontakt się urwał, aż spotkaliśmy się w Krakowie. Kutz stworzył z krakowskiego ośrodka telewizji najlepsze tego typu miejsce w kraju, a może i w Europie. Spektakle, które powstawały wtedy w Krakowie, są do dzisiaj uznawane za jedne z najważniejszych w historii Teatru Telewizji.

Jeszcze raz Kutz: „(Trela) jest jednym z największych żyjących aktorów. Cieszy się wśród kolegów podwójnym autorytetem: w zawodzie i jako prawy człowiek. Jest prawdziwie skromny”.

Jerzy Trela: I to był właśnie kochany Kazio. Czasami opierdolił, a czasem pochwalił.

Łukasz Maciejewski: Z Kutzem łączy Pana coś jeszcze: prostolinijność, dystans i poczucie humoru.

Jerzy Trela: Wbrew ponurej gębie mam trochę poczucia humoru, na własny temat również. Dotychczas najchętniej byłem zaczepiany przez stałych lokatorów Dworca Centralnego w Warszawie, którzy na mój widok wołali: „Miszczu, daj dwa złote na piwo”. Odpowiadałem wtedy: „Jak nauczycie się mówić „mistrzu”, dostaniecie piątkę”. Słowa dotrzymali, ale zabraniałem im zwracać się do mnie w ten sposób.

Jednak kiedy parę lat temu dostałem honorowy tytuł „Mistrza Mowy Polskiej”, powiedziałem moim dworcowym kumplom: „Teraz zmiana. Od dzisiaj możecie na mnie wołać „mistrzu”. Mam wszystko zalegalizowane na piśmie. Jestem mistrzem”.

To prawda. Jest pan mistrzem.

To Pan też chce piątkę na piwo?

*

Przemokły buty. Na jednym ze spotkań organizowanych przeze mnie w Małopolskim Ogrodzie Sztuki Jerzy Trela, podczas wieczoru poświęconego pamięci Kazimierza Kutza, nie tylko wspominał wybitnego reżysera, ale przede wszystkim przyjaciela.

Pan Jerzy, tym swoim pięknym, charakterystycznym głosem, tak cichym, że słyszalnym wszędzie, wspominał, że na krótko przed naszym spotkaniem odwiedził przyjaciela na cmentarzu. Brzydka pogoda, paskudna właściwie, jakiś dotkliwy listopad, który, nie wiedzieć czemu, trwa u nas prawie cały rok.

„Porozmawiałem sobie z Kazikiem – mówił. – Pogadaliśmy. I nie zauważyłem, że buty mi przemokły, bo zimno, chłodno, bo deszcz”.

To już wszystko, cała historia. Nic wielkiego przecież, a tyle w tym prawdy, lojalności, przywiązania. I te buty, zmoknięte buty. Byleby przeziębienia z tego nie było.

Jerzy Trela wychodzi na scenę czy na plan filmowy często we własnych butach. Wiadomo, pantofelków z pomponem z domu nie przyniesie, ale kiedy tylko można, przynosi buty własne. Może nawet te przemoczone. I to mi się rymuje z tezą nienachalną, tezą bez tezy, którą staram się wydobyć, mijając daty, nazwiska czy tytuły. Kim jest Jerzy Trela. Wielki aktor, nasz, krakowski, Jerzy

Trela. I wychodzą w końcu te głupie buty. Że chodzi we własnych butach, że czasami przemoczone, ale to nie jest wcale taka znowu zwyczajna sprawa.

Bo buty Treli są siedmiomilowe. Unoszą aktora wysoko, są także symbolem: trwania na posterunku wartości, przywiązania, prawa do odrębności, prawa do własności.

Nic to, że czasami mokre.

*

W jednym z wywiadów Jerzy Trela wspominał młodzieńcze spotkanie ze Zbigniewem Cybulskim. Usłyszał wtedy: „Nie będziesz aktorem, dopóki nie nauczysz się zamykać drzwi. Nauczysz się, żeby nie grać tego, że drzwi są zamykane, ale zamykać je tak, żeby to było niewidoczne”. Przejął tę radę. Wielkość Jerzego Treli to jest marność naszych aspiracji. To jest wielkość fontanny w parku miejskim, kawiarni, niech będzie literackiej, wielkość porządnego rzemieślnika, dobrego szewca, wielkość kolegów spod budki z piwem (czy są jeszcze takie budki?), ale i światowej prapremiery nowego utworu nieznanego wirtuoza. Jazgot jazzu zamienia się w zen. To jest właśnie Trela. Aktor, który wie, jak zamykać drzwi.



Łukasz Maciejewski - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty „Polityki” w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.

tura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty „Polityki” w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.